

deski, aby je następnie po wyschnięciu wsunąć w kilka ram medalionowych, bogato rzeźbionej i złoczonej „boazery“, z jakich składały się ściany wspaniałej, barokowej komnaty. Poczem na zagruntowanych deskach zaczął malować obrazy według wybranych szkiców.

Co rano Zosia ukazywała się w sali i, siadłszy z robotką pod olbrzymią rośliną tropikalną — których kilka stało tu w olbrzymich majolikowych wazonach — patrzyła z ciekawością na pracę Piotra, którego pędzel, ujęty pewną ręką, poruszał się i śmigał niezmiernie zwinnie. Na widok pięknego młodzieńca, swobodnie siedzącego na drabinie, słodkie jakieś uczucie wprawiało jej serduszek w nieznane dotąd dziewczęciu drżenie.

Młody malarz odtwarzał krajobrazy lubelskie, wiernie zaznaczając ich charakterystyczne cechy, bo wrażliwością prawdziwego artysty wchłonił ich wdzięk szczególnie niezmiernie szybko w duszę.

— Jak się to pani podoba? — zapytał Zosie pewnego dnia, wskazując jedno *panneau* zupełnie wykonane.

— Prześliczne!... Pewną jestem, że księżna podzieli moje zdanie. Lecz pozostaje jeszcze siedm do zrobienia. Zajmie to pannę pewnie całe lato, zwłaszcza, że każdy obraz ma być inny, tak układem, jak i treścią.

— Na przeciwnym mam zamiar odmalować ugor, porosły drobną, niską, gęstą, białą koniczyną. Na niej pasące się owce, których liczne stada widuję ciągle w polu. Czuwać nad nimi będą psy, ciekawe typy tutejszych owczarskich kundysów... lecz zamiast owczarza lub owczarczyka, chciałbym posadzić na ziemi, albo na rozesłanej jaskrawej płachcie... pasterkę w stylu XVIII wieku, żeby to jakoś licowało z dawną drewnianą dekoracją komnaty. Nie mogę z tychże samych względów odtworzyć dzisiejszej chłopki... a do pasterki *à la Watteau*, skąd wezmę modelu?

— Szuka pan modelu? — zapytała Zosia, a oczy jej rozpromieniły się, jak dwie jasne gwiazdeczki.

— Gdybym mógł znaleźć dziewczynkę, choćby tylko w ogólnych kształtach do pani podobną... bo z głową, to już i na pamięć poradziłbym sobie może... — odparł Piotr poważnie.

— Jeśli pan sobie życzy... jeśli to się przydać może do stworzenia interesującego dzieła... chętnie sama pozować będę.

Nie mówili więcej o tym przedmiocie.

Piotr uczuł się zmieszany, a nawet wzruszony. Nie wiedział, jak ma dziękować panience, którą uważał za osobkę znacznie wyżej od siebie stojącą w hierarchii społecznej, równie ze względu na wychowanie, jak prawdopodobnie i na urodzenie. Wszyscy traktowali ją w pałacu, jakby była córką wielkiej pani, właścicielki Zahajec. Każde jej życzenie spełniano w lot, z pełnym ugrzeczniem pośpiechem, chociaż nie rozkazywała nigdy, tylko o wszystko uprzejmie prosiła. Nazajutrz jednak, skromność jego uległa artystycznej pokusie, naszkicował więc pobieżnie na małym płótnie portrecik Zosi. W szkicu tym odwzorował przedziwnie niepospolity wdzięk jej lic i postaci.

Z początku zachwycił się nią tylko jak malarz, wydawała mu się bowiem cudnym zjawiskiem artystycznym, lecz powoli... powoli... spostrzegł, że lgnie do niej całym sercem. Myśli i dusza jego nią jedynie były zajęte. Wykończywszy obraz, w którym rolę głównej heroiny Zosi wyznaczył, odczuł, że gorączkowa praca z siłą go wyczerpała. Dzieło jego było istotnie bardzo piękne. Pomimo stylizacji bezwzględnie nowoczesne, namalowane z nadzwyczajną wrażliwością artystyczną, oryginalne i osobiste. Przełał w nie cały ogrom wstrząsającego nim uczucia. Nadto, niezmiernie udatnie zharmonizował tło kompozycji z postacią ukochanej bohaterki, tak, że utwór dyszał równocześnie poezją i prawdą, formą archaiczną i duchem dzisiejszym — a szczególnie życiem... życiem... życiem!...

— Ależ to portret Zosi! — rzekła księżna z lekkim odcieniem niezadowolenia i złego humoru, gdy po raz pierwszy przyszła obraz obejrzeć. — O ile mi się zdaje, nie prosiłam pana o namalowanie mojej wychowawicy.

— To ja sama, moja dobrodziejko, narzuciłam się panu na model — rzekła dziewczę słodkim głosem.

— To co innego!... W takim razie nie mam nic przeciw wizerunkowi Zosi. Owszem, winszuję pannę... szczerze winszuję. Obraz piękny, a podobieństwo nadzwyczajne!

Jerzy, chociaż obecny podczas całej tej sceny, milczał.

Widoczne jednak porozumienie, panujące między

zosią a malarzem, mocno go irytowało. Sądził nawet, że jest niebezpieczne.

Pewnego ranka, spotkawszy księżnę przed pałacem — podał jej ramię i poprowadził w głąb parku.

— Co to znaczy, że ciocia wyszła dziś sama na spacer? Dlaczego panna Zofia ci nie towarzyszy?... —

— Zosia przypatruje się malowaniu pana Piotra Bałuta.

— Czy ciocia nie znajduje, że poufałość, łącząca ją z obcym człowiekiem, nie jest wcale dla młodej panienki właściwą?

— Pozostawiam Zosi zupełną swobodę, bo jej ufam... bo wiem, że nie zboczy nigdy z prawej drogi.

— W takim razie lepiej nie mówmy o niej.

— Ależ owszem, mówmy! Nie zabraniam ci się nią zajmować, a nawet nie gniewałabym się, gdybyś ją pokochał, bo uważam ją za osobę doskonałą, pełną przymiotów i zalet. Jako żona, uszczęśliwi niezawodnie swego przyszłego męża.

— Ja miałbym pokochać pannę Zofię!... ja miał-



...a oczy jej błękitne skrzyżowały się z oczami zachwyconego jej widokiem młodzieńca.

bym się z nią ożenić?! — mówił Jerzy, gorzko się śmiejąc.

— Dlaczegożby nie?

— Bo Wielogrodzkiemu, moja ciociu, nie wolno się ożenić z osobą bez nazwiska, nie należącą do naszej sfery towarzyskiej.

— Nie zwracaj zatem uwagi na jej postępowanie. Co do mnie, pozwolę jej poślubić człowieka, którego pokocha, choćby był ubogi, jak biblijny Hiob. Majątek, jaki Zosia mieć będzie, wystarczy na dwoje.

— To znaczy, że ciocia ją wyposaży po królewsku?

— Całą moją fortunę podzieliłam na dwie nierówne części. Mniejszą ty otrzymasz... a większą ona...

— Uczynisz to dla osoby obcej, z którą nie cię nie łączy? Ależ to krzyżująca niesprawiedliwość! — szepnął Jerzy, zaciskając zęby i gniewnie spoglądając na księżnę.

— Pomów z księdzem Janem, a dowiesz się, co i on postanowił w tym względzie. Tak mój brat, jak ja, kochamy dziecko, które wyrwaliśmy śmierci i wychowali. Oboje pragniemy zabezpie-

czyć jej przyszłość. Pomimo nierównego podziału będziesz jeszcze dość bogatym, zwłaszcza, jeśli zabierzesz się do pracy. Mężczyzna powinien pracować. Oczekujemy tego od ciebie. Na co mielibyśmy się ludzi próżnemi nadziejami?! Nie chcemy, abyś, wiedząc próżniaczy żywot, czekał na to, co ci stryj i ciotka pozostawia. Nie masz zamiaru ożenić się z Zosią... no! to nie mówmy o tem. A jednak, było to moim pragnieniem najgorętszym. Zosia jest zaciętą i rozumną dziewczyną, umiałaby cię oderwać od blichtru warszawskich stosunków światowych, wywieść z szkodliwego otoczenia i skierować na drogę obowiązku. Bądź pewnym, że z godnością nosiłaby drogie i mnie nazwisko Wielogrodzkiej.

Rozmawiając w ten sposób, doszli do kiosku, stojącego na granicy parku i łączącego się tu z nim lasu. Matrona weszła do chińskiej altany, żeby nieco odpocząć po długiej przechadzce. Synowiec usiadł przy niej na ławce. Od wczoraj znał Jerzy mniej więcej dokładnie historię rodziny Zosi, otrzymał już bowiem drugi list od Bogajewskiego, w którym żółty pasażer streszczał znaną nam rozmowę Franciszki z Eugenią Molską. To też cieszył się wewnętrznym myśleniem, że będzie mógł ciotkę zgnębić i pokonać, odkrywając jej tajemnicę pochodzenia faworytki.

— Kto się z pupilką twoją ożeni, będzie prawdziwie szczęśliwym człowiekiem, bo go pokochasz, jak rodzzonego syna — rzekł chłodno, z udanym spokojem.

— Zosię uważam za córkę, nie więc dziwnego, że do jej męża przywiążę się, jak do syna. A powiem ci szczerze, że z niecierpliwością oczekuję na chwilę, w której wybrany przez nią młodzieniec poprowadzi ją do ołtarza. Nie będę sama; otoczą mnie jej dzieci... które uważać będę za moje wnuki. Gdyby dzieci jej były zarazem twojemi, kochałabym je prawdopodobnie bardziej... lecz cóż robić?... Ty nie chcesz jej poślubić, chociaż, dając słowo, że nie pojmuje, jak możesz żyć blisko niej, patrzeć na nią codziennie i nie ubóstwiać, jak my z twoim stryjem ją ubóstwiamy.

— Jestem przecie Wielogrodzki!

— Lecz jesteś także synem Leonii Skopińskiej! wyrwało się z ust księżnej mimowolnie.

— Skopińscy dobra szlachta.

— Być może, ale... ale... jest straszne „ale“, rzucające cień na ich rodzinę.

Jerzy zbladł.

— Na co mamy grzebać w popiołach smutnej przeszłości — szepnęła Amelia, przesuwając dłoń po zachmurzonym czole. — Ile razy wymawiam imię twojej matki, czuję dreszcz, przebiegający po ciele... i przejmuję mnie lęk o ciebie, bo chociaż jesteś Wielogrodzkim, nie łatwo ci przyjdzie znaleźć żonę.

— Niedawno temu — rzekł Jerzy, podnosząc się z miejsca i ocierając z twarzy zimny pot, który na nią nagle wystąpił — jeden z młodych ludzi wypoliczkował mnie niemal na wyścigach niejasnemi, lecz sarkastycznymi aluzjami. Była chwila, że miałem zamiar go zabić, bo krew uderzyła mi do głowy, lecz, zastanowiwszy się nieco, przyszedłem do przekonania, że coś pod słowami zuchwałego śmiałka ukrywać się musi, więc zamiast podnieść je, jak należało i wyzwąć przeciwnika, zadowolniłem się pokornym, płaczącym, dzieciannym przeproszeniem, dając pokój sprawie, którą tylko pojedynkową rozprawą załatwić wypadało.

— I dobrze uczyniłeś!

(Ciąg dalszy nastąpi).